



AGATA BUZEK O ZWIERZĘTACH,
PATRIARCHACIE I ŻYCIU W PANDEMII

LEKCJA POKORY

Trwanie w oczekiwaniu, kiedy to się
skończy i wrócimy do normy, uznałam za
absurdalne na dłuższą metę i szkodliwe.
Trzeba żyć, po prostu żyć – mówi aktorka
AGATA BUZEK

ROZMAWIA ALEKSANDRA PAWLICKA ZDJĘCIA WERONIKA KOSIŃSKA

NEWSWEEK: Jaki był dla pani ten rok pandemii?

AGATA BUZEK: Może wyda się to nieprzyzwoite, co powiem, ale to był dobry, ważny czas. Nieprzyzwoite w kontekście choroby, śmierci, zagrożenia, panującego lęku i niepokoju wokół. Dla mnie jednak było to ważne doświadczenie. Oczywiście mam to szczęście, że żadna z najbliższych mi osób nie odeszła z powodu koronawirusa, nie przeżyłam osobistej tragedii, mam pracę, natomiast ten rodzaj zatrzymania i zmuszenia do weryfikacji dotychczasowego życia, refleksji nad nim, uważam za cenny. Mówię jednak o moim osobistym, jednostkowym doświadczeniu. Nie wiem, na ile człowiek jest w stanie zastanowić się nad sobą w warunkach spokoju i zaplanowanego rozwoju.

Trzeba przyparcia do ściany?

– Być może. Sytuacja, w której cała planeta musi zjednoczyć się w obronie przed zabójczym koronawirusem, może nam uświadomić, że podobnie musimy się zjednoczyć w sprawie klimatu, tego, jak traktujemy zwierzęta, w sprawie przemocy wobec kobiet czy w sprawie rasizmu?

Która z tych batalii jest dla pani najważniejsza?

– Najtrudniejszym tematem jest dla mnie kwestia zwierząt. Bo one nigdy nie upomną się o siebie same. Większość ludzi wciąż nie ma w głowie połączenia, że pies, którego głaszczą na kolanach i w łóżku, jest takim samym stworzeniem jak świnia, która przez całe życie wyłącznie cierpi. Nawet nie próbują sobie wyobrazić, jak czułby się ich pies zamknięty w klatce swojej wielkości, niemogący obrócić się wokół własnej osi, przez całe życie niewychodzący na świeże powietrze, nigdy niegłaskany. Nie przycho-

dzi ludziom do głowy, że sam fakt kupowania wieprzowiny jestłożeniem własnych pieniędzy na współczesny holocaust.

Holocaust? To mocne porównanie.

– Nie ja jestem jego autorką, a Isaac Bashevis Singer piszący o „wiecznej Treblince”, później również poparty przez innych Żydów, którzy przeżyli Zagładę. Ja tylko się z tym zgadzam. Tak to właśnie wygląda. Na fermach futrzarskich, fermach kur niosek, w hodowli przemysłowej, laboratoriach, rzeźniach. Oburzają mnie reklamy kawałów mięsa z rysunkiem uśmiechniętej świnki. Potworna hipokryzja naszych czasów.

Pani nie je mięsa?

– Jestem weganą. Nie jem mięsa, nie noszę futra ani skóry. Staram się pomagać, na ile tylko mogę, fundacjom opiekującym się zwierzętami i walczącym o ich prawa, na przykład Przystani Ocalenie. Dziś takich miejsc jest parę na mapie Polski, ale oni byli pierwsi. To nie jest schronisko dla bezdomnych psów. Tam są psy, koty, króliki uratowane z testów, małpki z cyrków, lisy, świny, kozy, krowy, barany, szopy pracze, nawet jak, 150 koni... w sumie ponad 500 zwierząt uratowanych od cierpienia zadawanego przez ludzi.

W jaki sposób im pani pomaga?

– Jeździłam tam na jakieś 10 dni w roku, żeby pracować jako wolontariuszka – zwozić z pola marchewkę dla koni, czyścić stajnie, pomalować kociarnię, wyprowadzić psy na spacer, zrobić porządek w obejściu. Nie byłam tam niestety ostatnio, bo nie można ryzykować – jeśli pracownicy pójdą na kwarantannę, to kto da zwierzętom jeść? Pomagam więc organizować dla nich pomoc

materialną. Są w bardzo ciężkiej sytuacji, kryzys w pandemii najbardziej dotyka takie miejsca, przestaje wystarczać środków na karmę, o lekach i lekarzu nie wspominając, a przecież tam są głównie stare i chore zwierzęta. Założyłam z przyjaciółkami Szydelex, robimy na szydełku i na drutach czapki, torebki, piórniki. Sprzedajemy je na Instagramie i cały dochód idzie dla fundacji.

Pani robi na drutach?

– I na szydełku. Z największą przyjemnością.

Od jak dawna?

– Nauczyła mnie mama, gdy byłam w podstawówce. W latach 80., gdy niczego nie było, mama pruć stare swetry i robiła nowe. Ja dziergałam falami, ale od trzech lat robimy dużo z dziewczynami, ile się da. Tej zimy produkowałam głównie czapki.

W kwestii praw zwierząt epidemia najmniej chyba zmieniła.

– Niestety na to na razie wygląda, ale z niepoprawnym może optymizmem wydaje mi się, że jak ludzi ruszy się w jakimś kierunku, uwrażliwi, jedna zmiana pociągnie za sobą inne. Może z powodu własnego zdrowia, o które teraz będą musieli bardziej zadbać, zrozumieją, że to, co jedzą, im nie służy? Że jedząc kurczaka, faszerują się antybiotykami i chemią, więc powinni zamiast tego jeść warzywa. Jeśli chcą sobie naprawdę pomóc, może zaczną się nad tym zastanawiać. Tyle.

Powiedziała pani, że tak jak epidemia uświadomiła konieczność zjednoczenia się w walce z koronawirusem, tak może uświadomi konieczność zjednoczenia się w walce o prawa kobiet.

– W pewnym sensie w walce z przemocą, mobbingiem, molestowaniem seksualnym, z rasizmem i strasznym traktowaniem zwierząt chodzi o to samo – o otwartość człowieka na poczucie krzywdy, a w następstwie – na miłość, współczucie, a nie wyłącznie egoistyczne dbanie o zaspokojenie własnych potrzeb.

Brzmi jak bajka o złotej rybce.

– Trzy życzenia nikomu nie wystarczą. Zaspokajanie potrzeb nigdy się nie kończy. Nikt z nas nie dojdzie do momentu, w którym dom, samochód, ubrania, wakacje, posada i tak dalej... zapewnią mu szczęście. To w tej chwili jasne dla każdego, kto choć chwilę zastanowił się nad ślepym zaufaniem naszej cywilizacji. Zdobywanie kolejnego celu, produktywność, sukces nie są warunkiem szczęścia.

Brała pani udział w protestach Strajku Kobiet?

– Prawa kobiet muszą równać się prawom człowieka. To jest wręcz żenujące, że musimy o tym rozmawiać. Że człowiek osobno i kobieta osobno. Jednak pod hasłem „wypierdalać” nie mogę się podpisać. To przejmowanie mowy nienawiści. Jest mnóstwo aspektów praw kobiet wciąż rażąco naruszanych, ale nie mam w sobie tego gniewu, by stać pod takim transparentem. Choć

zdaję sobie sprawę z siły gniewu i tego, że jest często nieodzowny, by doprowadzić do zmian.

Nie ma pani w sobie tego gniewu, który był jesienią na ulicach, czy gniewu w ogóle?

– Mam w sobie stosunkowo mało gniewu. Dużo nad tym pracuję, aby od gniewu się uwolnić. Jeśli się we mnie pojawia, to zwykle w sprawach zwierząt.

Czy protesty kobiet stanowiły przesilenie w walce z patriachatem?

– Niewątpliwie zaczęła się dyskusja. Wydarzyła się burza, ale czy ona coś przyniesie, nie mam pojęcia. Wydaje mi się, że na razie to jest na poziomie nadziei i wiary, że może się coś wydarzyć. Ja przynajmniej mam nadzieję, że przyjdzie taki moment, gdy z niedowierzaniem będziemy wspominać, jak patriachāt ustawiał nam życie i decydował o naszych prawach.

Co jest najbardziej opresyjnym przejawem patriachatu?

– Jako pierwsze przychodzą mi do głowy stereotypy wpojone w relacje międzyludzkie. Gdy ludzie znajdują swoją drugą połówkę – co w ogóle uważam za idiotyczne sformułowanie, jakby człowiek sam w sobie był niepełną istotą – to najbardziej dotkliwe i wszechobecne wydają się stereotypy funkcjonowania w relacjach intymnych. To, jak należy się zachowywać, jakie zachowania są najbardziej pożądane. Dla mnie samej zadziwiające jest, że potrafię czasami przyjąć model kobiety, która tak trochę sobie w życiu nie radzi, więc ktoś może mi pomóc. Pomimo tego, że radzę sobie ze wszystkim świetnie. I pomimo tego, że nie mam takiego modelu w swojej rodzinie. Jednak jest on trwale zakorzeniony w kulturze, w filmach, w literaturze i sprawia, że mężczyzna nie poczuje się mężczyzną, dopóki nie będzie mógł zorganizować kobiecie życia. A kobieta będzie kobietą dopiero wtedy,

gdy pozwoli sobie to życie poukładać.

Czyli najpierw potrzebna jest rewolucja w głowach?

– Nie mam poczucia, że funkcjonuję według stereotypów, ale zdaję sobie sprawę, jak łatwo można by mnie w nie wtłoczyć. I to jest niepokojące. Podobnie jak to, że kobiety, aby uświadomić sobie, że świetnie potrafią sobie ze wszystkim radzić, wszystko sobie zapewnić i są pełnowartościowe, muszą wykonać zdecydowanie większą pracę niż mężczyźni. To jest chyba najbardziej opresyjny dla mnie przejaw patriachatu. Kobieta za swojego jednego życia musi wykonać gigantyczną pracę, aby mentalnie wydzwignąć się ze schematów.

Jest pani feministką?

– Nie. Zbyt często wpisywanie się w to określenie kojarzy mi się z ekstremizmem, z którym się spotykam. Polegającym na



PRZESTALIŚMY
PRZYWIĄZYWAĆ SIĘ
DO PLANÓW DALSZYCH
NIŻ BIEŻĄCY TYDZIEŃ.
TO, CO BĘDZIE W LIPCU,
OKAŻE SIĘ W LIPCU
I W OGÓLE
NIE ABSORBUJE TO
MOJEJ ENERGII.
TO UWALNIAJĄCA
DLA MNIE LEKCJA

przykład na umniejszaniu mężczyzn, pogardzie, agresji skierowanej przeciw nim. Albo na uznaniu za uwłaczające, że mężczyzna podaje kobiecie płaszcz lub otwiera drzwi. Z tym się nie zgadzam. Nie jesteśmy identyczni i to jest wspaniałe. Po prostu chciałabym, żeby ludzie mieli równe prawa i możliwości, niezależnie od płci, rasy, wyznania, orientacji seksualnej, pochodzenia, języka.

Jak odebrała pani dyskusję o przemocy w środowisku teatralnym?

– To element wyzwania się, nabierania odwagi, by mówić o trudnych rzeczach, a także dbania o prawa. Specjalnie nie mówię „walczenia o prawa”, chciałabym, żebyśmy mogli o prawa dbać, a nie – walczyć. Jestem absolutnie po stronie ofiar. Ale zaznaczam – prawdziwych ofiar, a nie osób, które teraz się podłączają, by dać upust swoim frustracjom. Ja nie doświadczyłam bezpośrednio przemocy w szkole ani w pracy, ale wiem, o czym mówią. I dobrze, że mówią! Mam jednocześnie w sobie wielką niezgodę na wypowiedzi, w których mobbing, przemoc i molestowanie seksualne w szkołach teatralnych i filmowych, na planach i w teatrze są uznawane za coś na porządku dziennym.

Uważa pani, że to krzywdzące dla środowiska?

– To po prostu nieprawda. Po pierwsze: na porządku dziennym w mojej pracy są wspaniali ludzie, zaangażowani, lubiący

się i szanujący nawzajem, profesjonalni, otwarci, czasami pewnie emocjonalni, ale nie można tego mylić z przemocą. Pracujemy na emocjach, zarówno aktorzy, jak i reżyserzy, one czasami ponoszą, ale czym innym jest zacięła dyskusja, a czym innym wykorzystywanie swojej pozycji, aby kogoś zdeprecjonować czy upokorzyć. Wyznaczanie granic wymaga bardzo dobrych barometrów. Po drugie: nie zgadzam się na generalizowanie, dlatego że to najprostszy sposób, aby konkretne przypadki przemocy utopić w ogólnym bagnie, że u nas to już tak jest. Otóż nie jest. U nas jest tak jak w innych środowiskach, zdarza się patologia, ale to wyłącznie konkretne przypadki przemocy i krzywdy konkretnych ofiar trzeba rozliczyć.

Była pani zaskoczona, kiedy to się zaczęło?

– Nie. To się musiało kiedyś stać. Bardzo się cieszę, że temat ruszył i mam nadzieję, że moje środowisko stanie na wysokości zadania – da przykład, jakiego nie dały inne środowiska, choćby środowisko kościelne. Że zostanie to potraktowane poważnie i znajdą się adekwatne, sprawne procedury, zostaną wyciągnięte konsekwencje. Ale też – że nie będzie się rozwijał ten niekontrolowany lincz facebookowy, który może przy okazji wielu niewinnych ludziom zniszczyć życie.

Jak przetrwała pani rok bez pracy w teatrze?



– Wstyd się przyznać, ale świetnie. Nigdy nie byłam zatrudniona w teatrze na etacie, nie jestem związana z konkretnym zespołem, więc i wcześniej zdarzały mi się dłuższe przerwy w graniu na scenie. Obecna, choć stanowi poważne zagrożenie dla przetrwania teatrów, postanowiłam przekuć w coś pozytywnego. Zatrzymanie świata i pracy spowodowało u mnie uspokojenie wewnętrzne wynikające z tego, że nic mi nie ucieka w czasie, gdy siedzę i nic nie robię. Widzę rezultaty, jakie to przynosi – jestem mniej nerwowa. Oczywiście nie zmienia to faktu, że wspaniałą rzeczą jest przyjść na próbę, spotkać się z ludźmi, zobaczyć światła, scenografię. Pandemiczna przerwa pozwoliła mi to docenić na nowo.

Nie wiadomo tylko, jak długo ta przerwa jeszcze potrwa.

– Od kilku miesięcy rozmawiam ze sobą w takim duchu, że trzeba przestać czekać na koniec pandemii. Życie w oczekiwaniu, kiedy to się skończy i wrócimy do normy, którą znamy sprzed pandemii, uznałam za absurdalne na dłuższą metę i szkodliwe. Ta norma, która była, może już nigdy nie wrócić. Dziś co innego jest normą i nie wiadomo, ile ta nowa norma będzie trwała i jaka będzie następna. Może gorsza? Trudniejsza? Życie w nieustannym oczekiwaniu – w tym przypadku na koniec pandemii – to jest wielka krzywda, którą można sobie zrobić.

Nie ma pani poczucia, że ta nowa rzeczywistość pozbawia nas planów, marzeń?

– Pandemia pokazała, że robienie planów ma stosunkowo ograniczony sens. Trzeba żyć, po prostu żyć. Jak najbardziej chwila obecna. Kultury wschodnie mówią nam to od tysiącleci, ale może nam potrzebna była pandemia, aby zrozumieć, co mają na myśli.

A niepewność, która pandemii towarzyszy, nie jest obciążająca?

– Zdaję sobie sprawę, że dla osób, które nie mają zapasów na koncie, to jest bardzo trudny czas. Na szczęście jestem w tej komfortowej sytuacji, że nie drzę o materialne przetrwanie. Nie oznacza to, że i mnie nie dopadają frustracje. W grudniu, gdy kończył się rok i człowiek oczekuje czegoś nowego, a pandemia

wcale nie miała ochoty się kończyć, poczułam się strasznie zmęczona, jakoś zakleszczona w tej sytuacji. Wtedy zrozumiałam, jak koszmarny musi być to czas dla kogoś, kto czuje się w ten sposób od początku pandemii. Ja, generalnie rzecz biorąc, uwolniłam się od kalendarza.

W jakim sensie?

– Kiedyś pewne rzeczy wydawały się absolutnie niemożliwe, na przykład odwołanie premiery miało rangę narodowej katastrofy, a teraz premiery przesuwają się i tyle. Lekcja pokory wobec spraw, na które nie mamy wpływu, a które zawsze się wydarzają, nie tylko pod postacią koronawirusa. Oczywiście w moim zawodzie elastyczność była konieczna zawsze, bo dopóki nie wejdę na plan i kamery nie pójdą w ruch, wszystko może się przesunąć, zmienić. Wystarczy, że popsuje się pogoda albo zabraknie funduszy. Teraz jednak to doświadczenie stało się powszechne. Przestaliśmy przywiązywać się do planów dalszych niż bieżący tydzień. Oczywiście mam w kalendarzu plany do października, ale nie przywiązuję się do nich. To, co będzie w lipcu, okaże się w lipcu i w ogóle nie absorbuje to mojej energii. To bardzo uwalniająca dla mnie lekcja.

Gdy rozmawialiśmy dwa lata temu, zgubiła pani akurat telefon komórkowy i mówiła, że nie ma ochoty kupować nowego.

– Kupiłam, ale od dwóch tygodni znowu jestem na etapie wielkiej tęsknoty za okresem bez telefonu. To dało mi wolność. Nic się nie zawaliło, niczego nie straciłam. Pracowałam, spotykałam się z ludźmi, a byłam tu i teraz. Nawet nie chodzi o to, czy jakaś wiadomość przyjdzie, czy nie, bo mój telefon ma permanentnie wyłączony dźwięk, więc mnie nie zahacza. Jednak już sama potencjalność tego kontaktu powoduje, że jestem częścią siebie gdzie indziej. Bo potencjalnie mogę sprawdzić pogodę na jutro, potencjalnie do kogoś zadzwonić, potencjalnie mogę zrobić milion rzeczy i samo to odciąga część mojej uwagi od miejsca, gdzie jestem.

A nie miała pani poczucia, że bez telefonu traci nad czymś kontrolę?

– Miałam. Na początku budziło to mój lęk. Ale właśnie o tę utratę kontroli chodziło. O puszczenie chociaż części tych sznurków, które tak kurczowo trzymałam. I nic się nie stało złego. A moje zbiegające od wysiłku kłykciki mogły się rozluźnić. Wystarczyło sprawdzenie maili raz na dwa dni.

Wtedy przyszła pani na spotkanie bez telefonu, ale z Heleną.

– Helena jest ze mną nadal. Od czasu, gdy rozmawialiśmy, miałyśmy z Heleną pod opieką trzech psich staruszków: Zbycha znalezione na Mazurach, Rudolfa, który był najstarszym psem w schronisku na Paluchu, i Stefcia, bardzo chorego, wspaniałego psa ze schroniska w Korabiewicach. Mówię „my”, bo moja psica Helenka ma duży udział w opiece i przystosowywaniu do warunków domowych porzuconych staruszków. Stefcio odszedł od nas w październiku. Muszę się po tym trochę pozbierać, ale pewnie znów pojawi się starszy pies, któremu postaram się zapewnić spokojną starość. **N**